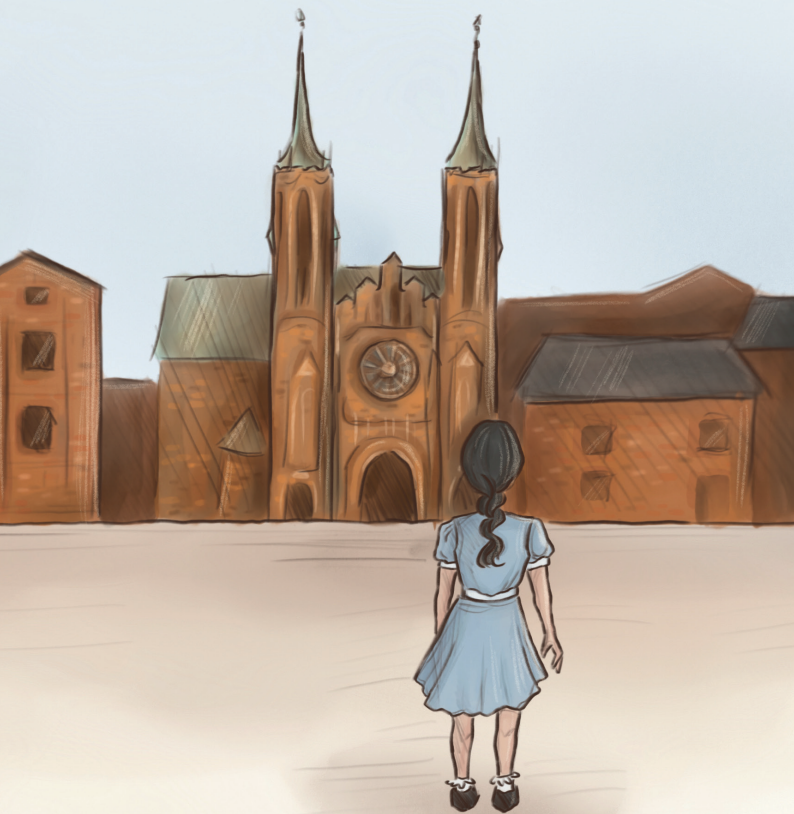




MÓJ ŻYRARDÓW
Gdzie te dobre stare czasy!?

Paweł Hulka-Laskowski (1881-1946) był myślicielem, pisarzem, tłumaczem literatury obcej, publicystą, religioznawcą. Z charakteru społecznik, wspierał żyrardowskich robotników w relacjach z wielką fabryką lnianą oraz niósł im wiedzę w formie kursów i udostępniania księgozbioru.

W ramach programu obchodów Roku Pawła Hulki-Laskowskiego żyrardowska Biblioteka zorganizowała konkurs na najlepszą miniaturę literacką i plastyczną w oparciu o tekst zaczerpnięty z książki „Mój Żyrardów” autorstwa żyrardowskiego pisarza.

Przed Państwem książka – miniatura, na którą złożyły się dwie zwycięskie prace konkursowe.

Gratuluję Laureatkom, a Czytelnikom życzę przyjemnego zgłębiania całej twórczości wybitnego żyrardowianina.

dr Jerzy Naziębło
dyrektor żyrardowskiej Biblioteki

Prace nagrodzone:

W KATEGORII MINIATURA LITERACKA
Karolina Kuran „Pod jednym niebem”

W KATEGORII MINIATURA PLASTYCZNA
(oraz ilustracja na okładkę)
Łucja Bezoń „Na placu”

KAROLINA KURAN

Pod jednym niebem

ŻYRARDÓW 2021

*Czas misternie tka
Losu wątek na osnowie dnia
(„Świt! Świt!” – tradycyjna piosenka żydowska)*

– Nie, Mirele – powiedział z naciskiem Mojsze Meier, prawdopodobnie najlepszy żyrdowski krawiec, właściciel składu z usługami prania i naprawy w ulicy Szerokiej oraz podnajemca sklepu w podwórzu Wiskickiej, i pociągnął długi łyk herbaty ze szklanki stojącej na parapecie okiennym – nie zapomnieliśmy.

– Tate...

Jego córka, dwunastoletnia Miriam, szerzej otworzyła przepiękne, zielone oczy, i rozwarła dłonie, upuszczając na stół naręcze sztućców. Noże, widelce i łyżki zabręczały twar-do, padając na okryty świeżo wyprasowanym obrusem stół zastawiony do niedzielnego obiadu.

Wracając przed chwilą od studni z wymytymi sztućcami, usłyszała, jak ojciec wylicza маме wydatki na najbliższe miesiące: komorne za dom i składy, pensja dla czeladników, czesne chederowe dla Icka, najmłodszego syna.

I moja szkoła, przypomniała wesoło Mirele, odwieszając ściereczkę na kołku przy piecu.

*Nie będziemy więcej płacić za zbyt*ki, odpowiedziała маме.

Ostatnia łyżeczka uderzyła o stół, zawibrowała, ucichła. Mirele przełknęła ślinę, uniosła czoło, nagle zroszone zimnym potem.

– Tate, ja... Chcę się dalej uczyć.

Sześć prostych słów wypełniło kuchnię Meierów jak dym: Mirele czuła, jak cisza napiera na nią ciężkim całunem, owija się wokół ściśniętych strachem płuc i naciska, naciska, naciska...

Wszyscy zdawali się wstrzymywać oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

Po długiej chwili milczenia, matka uniosła głowę, mocniej zaciśnęła wsparte o lniany obrus pięści. Ojciec trwał nieporuszony przy oknie, zwrócony tyłem do izby: dziewczyna widziała, że i kłykiec jego założonych na plecy rąk bieleją od nacisku mięśni, wyraźnie odcinając się od czerni chałata.

– Powiedziałam – głos matki był niski i gardłowy, niemal chrapliwy – i nie powtórzę więcej. Nie wracasz na pensję, Mirele; jesteś potrzebna w domu i w sklepie, widzisz sama, jaki bałagan...

– Nie tłumacz się dziecku, Szoszana – głęboki bas ojca zawibrował w powietrzu, budząc dziecko śpiące w kołysce przy piecu. Sara rzuciła teściowi spłoszone spojrzenie i pochyliła się nad synkiem, kuląc ramiona. – Dzieci będą posłuszne ojcom swoim, matkę i ojca czcić będą nad sobą: tyle wystarczy, nie trzeba więcej. Daliśmy jej tyle wykształcenia, ile trzeba. Teraz wymagamy posłuszeństwa, ot i cała sprawa.

– Porządne dzieci – wtrąciła z głębi kuchni matka Sary, Ślepa Chaja, posyłając Meierowi złośliwe spojrzenie niedowidzących oczu – nie mówią rodzicom, jak chcą być chowane. Na waszym miejscu...

– Nie jesteście na naszym miejscu, Chajo.

Ponownie zapadła cisza, dusząca i gęsta. Za oknem sąsiadka rozwieszała pranie; Mirele odwróciła wzrok, osłepiona

porannym słońcem odbitym od świeżo wypranych obrusów i ręczników. Coś złego, ostrego i kolczastego zagnieździło się w jej piersi: jak bardzo niesprawiedliwy był Najwyższy, skoro postanowił zniweczyć jej marzenia w tak piękny, słoneczny dzień? Powinno padać jak z cebra, deszcz winien wypełniać rynsztoki i płynąć spienioną, buro-brązową falą w dół Szerokiej, zabierając ze sobą jej rozczarowanie.

Przełknęła ślinę, gorzką i gęstą, wzięła ostrożny oddech.

– Czy mogę wyjść, tate?

Meier poruszył głową, wciąż nie patrząc na córkę.

– Idź. Wróć, jak będziesz gotowa posłuchać ojca i matki.

Nie będę, pomyślała ze złością, szarpiąc troczki fartucha. Nie będę. To MOJE życie, moje!...

Przystanęła na progu, mrużąc oczy w słońcu. Dzieci sąsiadów, zajęte grą w kamyki na twardo ubitym piasku podwórka, nie zaszczyciły jej nawet spojrzeniem. Sąsiad, szewc Szurlej, owszem, zaszczycił: spoglądał ponuro z drewnianej galeryjki otaczającej dom naprzeciwko i palił papierosa z niezadowoloną miną, najwyraźniej obwiniając cały świat, w tym przede wszystkim Mirele, za pustki w swoim warsztacie. W oddali zakołysały się i rozśpiewały dzwony na wieżach kościoła, jakby i one drwiły w najlepsze z nieszczęścia dziewczyny. Mirele rzuciła głową jak żrebak, sapnęła gniewnie, zaciśnęła szczęki i pięści.

Pobiegła.

Na podwórzach między Szeroką a Familijną trwały wielkie pranie. Gospodynie wytargały z domów tary i balie,

rozpalili ognie pod wspólnymi paleniskami i grzały wodę, dostarczaną wiadrami przez spoconą dzieciarnię. Rozpoznała żonę Szurleja, chorobliwie bladą i chudą, schyloną nad parującą balią: szewcowej pomagała piegowata Andzia, dziewczynka w wieku Mirele, zatrudniona w Zakładach na mokrej przędzalni i wciąż szukająca dodatkowej pracy, nawet przy niedzieli. Mirele odwróciła wzrok, zagryzła usta – nie miała czasu ani chęci na przemyślenia. Złość napędzała ją jak mechanizm z powieści Verne'a: w takim stanie była niemożliwa do zatrzymania. Minęła zatłoczone podwórze w pełnym pędzie, potrącając nogą ceberek z mydlinami: ktoś krzyknął za nią z wyrzutem, ale już tego nie usłyszała, nie chciała usłyszeć.

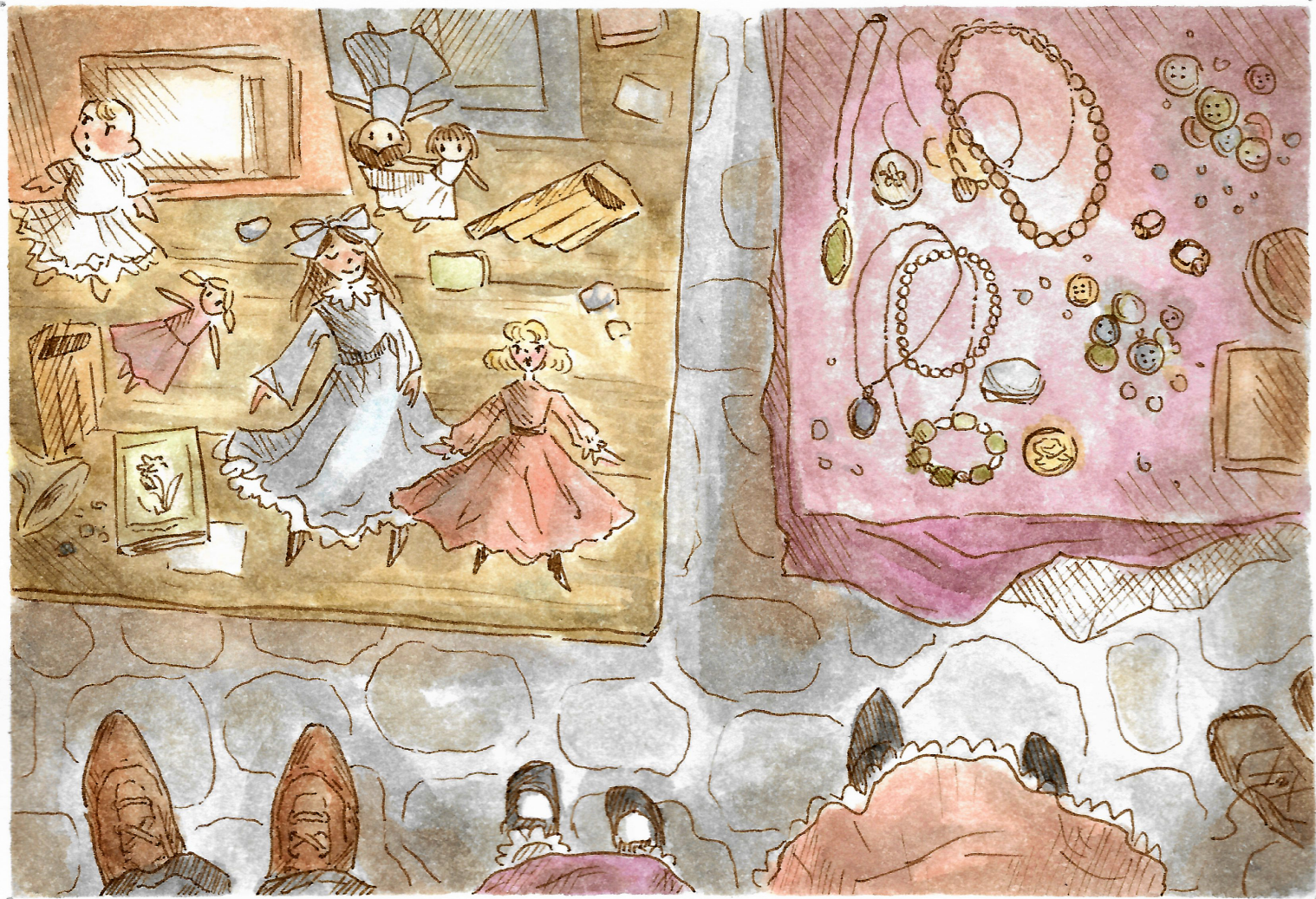
Przy ostatnim domu przed ulicą źle wymierzyła, oddając pełne niechęci spojrzenie siedzącej na ganku Polce w odświętnej, lnianej bluzce z haftowanymi wyłogami – zdezorietowana i wściekła, przemknęła zbyt blisko rosnącego tuż przy budynku rachitycznego krzewu robinii; kolczasta gałąź schwyciła koniuszek czarnego warkocza, przytrzymała, pociągnęła silnie. Mirele załkała, skupiona na powstrzymaniu cisnących się pod powieki łez, szarpnęła do przodu, zostawiając białą wstążkę, tak starannie wiązaną przez mamę, na gałązce.

Porządne dziewczyny noszą włosy zaplecione, Mirele! – odezwał się jej w głowie głos matki, ostry i napominający. A trudno! Tak lepiej! Czyż nie powiedzieli jej właśnie, że całkiem porządna nie jest, i nigdy nie będzie?!

Biegła dalej, pomimo ucisku w płucach i szumu w głowie. Skręciła ostro w prawo, przecięła ulicę Targową prawie nie patrząc, czy ktoś nią aby nie nadjeżdża, przecisnęła się między nie dość prędko kroczącymi spacerowiczami, ode-

pchnęła od parkanu ochronki fabrycznej – wpadła na plac. Łapczywie chwytając powietrze do obolałych płuc, chłonęła widok ludzkiego mrowia, i mieszające się swobodnie śmiechy i zawołania: rosyjskie, niemieckie, polskie, żydowskie.

Porządne Żydówki nie chadzały same po „placu”, jak w żyrdowskiej gwarze nazywano targowisko przed nowym kościołem: ani w zwykły dzień, ani tym bardziej w niedzielę, gdy z kościoła wysypywali się wierni w odświętne odprasowanych ubraniach, otoczeni chmarą dzieciaków nudzących o karmelki, słodką watę czy jabłka. Za dużo tu było zgłębku i ścisku, za wiele kramików z pokusami; za wielu uliczników chętnych do zaczepki i prędkich w języku. Owszem, Mirele bywała na placu wcale często, ale zawsze z ojcem – i zawsze dopiero pod wieczór, po niedzielnej pracy i rodzinnym obiedzie, gdy krzątania i „wywczas” zwalniały, a handlarze chętniej wyzbywali się gorzej idącego towaru. Ojciec kroczył wówczas spokojnie między zwijanymi niespiesznie straganami, tu zamienił słowo z kupcem żelaznym z Hamerni, tam wybrał dla Mirele złote jabłko, gorące i miękkie od niedzielnego słońca, lub stargowaną z ceny paczkę rodzynek, którymi musiała się sprawiedliwie dzielić z resztą dzieci („gojskich” zabawek, mimo wielkiej ich obfitości, ojciec nie kupował jej nigdy, i krzywo na nie spoglądał). Ówdzie wreszcie podnosił do oczu żydowską książkę: nie żeby kupić, ma się rozumieć (człowiek uczciwie pracujący nie miewa czasu na tego rodzaju rozrywki), ale by wiedzieć, co w trawie piszczy, i móc uczenie pokiwać głową podczas rozmowy z rabinem Albekiem. A że do rozmów tych dochodziło ostatnimi czasy coraz rzadziej, to i książki w ręku ojca widywała Mirele nieczęsto: nie



miała zaś śmiałości, aby prosić go o zatrzymanie się przy drobnym Żydzie w binoklach, dowożącym nowości wydawnicze (nie tylko po żydowsku!) prosto z Warszawy. Ojciec nie rozumiał – nie próbował zrozumieć – dlaczego Mirele tak wielką wagę przywiązywała właśnie do książek, i czemu gotowa była zrezygnować z jabłek, słodczy i lalek dla brzydko wydanych nowelek w broszurowych oprawach. Nie rozumiał, i gonił ją dalej, głębiej, ku sercu targowiska – z dala od rzeczy, które cieszyły ją najbardziej.

Tak było zawsze – ale nie dzisiaj. Może kłótnia z rodzicami nie była jednak taka zła – Mirele aż się wzdrygnęła od tej nieproszonej myśli – skoro na jej skutek znalazła się teraz na placu, sama jedna, i... Jeżeli rodzice naprawdę chcieli... Przełknęła ślinę.

Jeżeli rzeczywiście nie miała już nigdy wrócić do szkoły, to przynajmniej tutaj nikt nie będzie jej odganiał od książek!

Wyprostowała się, odrzuciła na plecy rozluźniony warokcz bez kokardy i wkroczyła między pierwsze rzędy straganów. Serce biło jej mocno, gubiło rytm z wysiłku i emocji. Wydawało jej się, że wszyscy na nią patrzą: blade, zmęczone kobiety, na jeden świąteczny dzień uwolnione od ciężaru szpulek z nićmi, a w ich miejsce obwieszone hałaśliwymi dziećmi; dwaj Szkoci, mistrzowie tkaccy, wąsaci i czarnobrewi nad wywatowanymi ramionami kraciastych marynarek; stójkowi zebrani w grupę przy budce strzegącej wejścia na targowisko, bardziej skupieni na toczącej się przy odwróconej do góry dnem beczki grze w warcaby niż na pilnowaniu porządku; chrześcijańskie dzieci w wieku Mirele, skubiące słodką watę i popatrujące nieufnie na zadyszaną dziew-

czynę; żydowskie kupcowe, wyklócające się jękliwie z klientami... Ruszyła niepewnie naprzód, lawirując pomiędzy spacerowiczami i uchylając się przed przypadkowymi dośknięciami rozentuzjasmowanych handlarzy.

Im bardziej zbliżała się do górującej nad placem sylwety starej webelni, tym spokojniej robiło się na placu: część niedzielnych spacerowiczów wchodziła między kramy wyłącznie na prośbę rozkapryszonych dzieci, by popospiesznym nabyciu twardych karmelków czy waty cukrowej

co rychlej opuścić targowisko i udać się w chłodny, zielony cień parku miejskiego lub przespacerować aleją Nowego Świata wśród potężnych kasztanowców. W tej części placu królowali bardziej „przyziemni” kupcy: Żydzi sprzedający wszelkie „mydło i powidło”, począwszy od świeżego pieczywa na niedzielną kolację, i pracujący dla fabryki Polacy oferujący żywardowskie wyroby przyjezdnym z Warszawy i Łodzi. Na ich straganach, oznaczonych giętymi z drutu kwiatkami o pięciu płatkach, piętrzyły się starannie obrębione serwety i żakardowe obrusy, a żelazne wieszaki obwieszono zapakowanymi w cieniutki papier koszulami i bluzkami. Mirele rozpoznała kilka wzorów ze sklepu ojca: możliwe, że sama wyprasowała co najmniej kilka z tych ubrań tuż przed ostatnim szabatem. Przed wieszakiem z wyjątkowo ładną, kremową bluzką stała szczupła kobieta w uroczym toczku i skórkowych rękawiczkach, dopraszając się u męża zakupu nowego cacka; mężczyzna śmiał się, przekomarzał, ale sięgał już do kieszeni na piersi po wypchany pugilares, głośno wychwalając handlarza za jakość oferowanego towaru.

Mirele nie poczuła się z tego powodu ani trochę lepiej. Czy tak miała wyglądać jej przyszłość? Pilne prasowanie drogowego materiału w chłodzie sklepowego zaplecza, aby mogli go podziwiać (i kupować) przechodnie na zastożonym słońcem placu? Na samą myśl o takim życiu lzy napłynęły jej do oczu. Otarła je szybko, westchnęła i szparko minęła budki z Inem, kierując się w stronę magistratu.

Dopiero na widok rozłożonego w cieniu ceglanej fasady księgarza i jego powitalnego uśmiechu (chyba ją rozpoznał!) poczuła się lepiej, spokojniej i pewniej. Nieśmiało zbliżyła się do straganu, obchodząc łukiem innego klienta: wysokiego, szczupłego pana z kędzierzawym wąsem, bardzo eleganckiego w jasnym, świątecznym ubraniu i koszuli ze sztywnym kołnierzykiem. Młody ów mężczyzna zajęty był rozmową z księgarzem o niedawnym wydaniu „Tygodnika Ilustrowanego”. Mirele, która periodyk ten widywała tylko przelotnie na biurku pani Wieczerek, pochyliła się nad wyeksponowaną na przodzie straganu nową książką doktora Korczaka, i ciekawie nadstawiała uszu.

– Tak, tak, panie Naumann – kiwał głową wąsaty młodzienc, machinalnie kartkując trzymany w dłoni tomik Tetmajera – bez nazwiska nic się nie da osiągnąć.

Księgarz dotknął palcem wskazującym czubka nosa, uśmiechnął się znacząco.

– Bez polskiego nazwiska, szanowny panie Laskowski, bez polskiego! Sam pan teraz widzisz, czego Żydz doświadczać świątek-piątek: Polska to chrześcijański kraj...

– Katolicki – mruknął pod wąsem młody człowiek, zezując spod ronda kapelusza na błyszczące nowością blaszane

zwieńczenia wież kościelnych. – Wciąż bardziej i bardziej, panie Naumann. A wcale nie musiałoby tak być...

Mirele nie rozumiała, w czym rzecz. W roztargnieniu przerzuciła kilka stron książki, słuchając nieuważnie.

– Żyjemy przecież w jednym kraju – kontynuował z zapalem młody pan Laskowski – Polacy, Niemcy, Żydz, Rosjanie, Czesi, i kto tam jeszcze; katolicy, ewangelicy, prawosławni, starozakonni... Niech pan powie, panie Naumann: czuje pan, jak dziś gorąco? Prawdziwy lipiec we wrześnie!

Księgarz skinął głową, zamruczał coś bez przekonania.

– Właśnie, sam pan widzisz! Czujemy to samo, tak samo. Wszystkich nas żywi ta ziemia, to miasto i ta fabryka. Chodzimy pod jednym niebem. Dla jakiej przyczyny musimy się wciąż dzielić i gniewać?

– Pan jesteś idealista, szanowny panie. A człowiek potrzebuje hierarchii: musi wiedzieć, kto za nim, a kto po nim; kto nad, a kto pod...

– We fabryce, na pewno! Tam trzeba wiedzieć, skąd nic idzie i dokąd podąża; kto nosi szpulki, a kto podaje wątek. Ale w życiu? Panie Naumann! Mamy nowe stulecie, wszystko możemy zmienić, wszystko ulepszyć, wystarczy aby chcieć. Czy nie byłoby lepiej, gdyby wszyscy...

– Panie Pawle, znów nudzisz dobrym ludziom, ano?

Mirele drgnęła na dźwięk znajomego głosu, stłumiła okrzyk. Obok straganu pojawiła się niespodziewanie para młodych ludzi trzymających się pod rękę; on, wysoki i szczupły, w ciemnym ubraniu wyszukanego kroju, skrywał twarz w cieniu – ona, przeciwnie, stała w pełnym słońcu, podając panu Laskowskiemu dłoń do ucałowania: uśmiechnięta

i ciepła, z koroną jasnych warkoczy splecioną nad czołem ob-
sypanym drobnymi piegami. Jej organdynowa sukienka
przypominała kolorem niebo nad placem oraz kwiatki lnu,
i pasowała do oczu dziewczyny uśmiechających się przyjaźnie
do Mirele.

– Miriam, co tu robisz sama? Gdzie twój ojciec?

– W domu – odpowiedziała cicho, rumieniąc się pod
spojrzeniami dziewczyny, księgarza, i pana nazwanego Paw-
łem. – Dzień dobry, Jano.

– *Dobre rano* – Jana dotknęła jej ramienia, uściśnęła
mocno. – Wszystko dobrze?

Mirele nie odpowiedziała. Patrzyła na towarzyszące-
go Janie mężczyznę, który wreszcie odwrócił się w jej stro-
nę. Prawie go nie poznała, z włosami wygładzonymi brylanty-
ną i w surducie skrojonym do figury: dopiero teraz, gdy spo-
glądał na nią z wyrzutem i złością, rozpoznała własnego brata.

– Jakobe...!

Pan Laskowski obejrzał się, ukłonił, rozpoznawszy, podał
Jakubowi rękę – brat Mirele uściśnął ją krótko, zakołysał się na
obcasach. Jego twarz, tak pochmurna zaledwie kilka godzin
wcześniej, wyrażała spokój i opanowanie, nieznacznie tylko
zmącone widokiem siostry. Czy to tutaj przychodził, gdy mó-
wił, że idzie na wódkę przy Przejeździe lub „Pod Murzynów”,
do klezmera? Nie mogła uwierzyć, że z zimną krwią oszukiwał
rodziców!

A przecież – podpowiedział cichy, złośliwy głosik w ser-
cu dziewczyny – czy miał wybór? Co powiedziałby ojciec, gdy-
by dowiedział się, że jego najstarszy (żyjący) syn spaceruje
w niedzielę po placu i Nowym Świecie ubrany jak asymilant,

pod ramię z gojką biorącą od nich pranie, Czeszką i ateistką?
Czy zareagowałby lepiej niż na wieść o tym, że jego jedyna
córka pragnie się dalej uczyć, skończyć gimnazjum, ba! Może
nawet wstąpić na uniwersytet?

Nie.

Och, jak bardzo nie!

– Państwo wybaczą – Jakobe puścił ramię Jany, i w za-
mian złapał za kościsty łokieć siostry. – Dowiem się, w czym
rzecz.

Odeszli głębiej w cień za straganem: Jakub był bar-
dzo, bardzo blady, oddychał płytko i zagryzał usta. Mire-
le, przeciwnie, poczuła nagle niezwyklej spokój i pewność,
że wszystko się jakoś ułoży – nie wiedziała jeszcze jak, ale
z pewnością Jakub pomoże jej przekonać mamę i tatę, teraz,
gdy ona wie o nim... co, właściwie?

– Jakobe – szepnęła, podnosząc na brata szeroko otwar-
te oczy. – Co teraz?

– Przysięgnij – powiedział niskim, zimnym głosem, od
którego poczuła lęk, jak wcześniej w domu. – Przysięgnij, że
im nie powiesz, Mirele. Nie możesz powiedzieć!

– Wszystko mogę – wzruszyła ramionami, hardo uno-
sząc podbródek i dziwiąc się w duchu własnemu tupetowi.
– Czy ja co wiem, czy rozumiem? Prosta dziewczyna, wszyst-
kiego cztery klasy skończone – powiedziała z naciskiem, wpa-
trzona w twarz brata, przerażona własną odwagą, bezczelno-
ścią, brakiem szacunku. Jakub wyprostował się, zmrużył oczy,
podkreślił wypomadowane (gdzie on chowa te maści?!) wąsy.

– Rozumiem. Oboje chcemy być... inni, tak?

Mirele odwróciła wzrok, spoglądała na tętniący życiem plac.

Co on powiedział, ten pan Laskowski? Wszyscy żyjemy pod jednym niebem. Żydzi, Polacy, Niemcy, Rosjanie, chłopcy i dziewczęta, różnych wiar i jednego serca.

– Nie, Jakobe. Chcemy być tacy, jak wszyscy – w swojej prawdzie.

Brat zaśmiał się, krótko i drwiąco, potargał jej włosy nad czołem: kompletnie nieporządnie! – Jakaś ty mądra, mała! Szkoda byłoby nie posyłać cię dalej do szkoły.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio się śmiałeś – odpowiedziała cichutko, grzebiąc czubkiem bucika w kurzu pod stopami. Dłoń brata opadła, zakreśliła w powietrzu smutny łuk.

– Dawno, Mirele. Dawno temu.

W milczeniu wrócili do straganu, przy którym księgarz obsługiwał już kolejnych klientów, a Jana i pan Laskowski rozmawiali po czesku, przyciszonymi głosami, wyraźnie zainteresowani wymianą zdań między rodzeństwem Meierów.

– Odprowadzę cię do domu – zaproponowała szybko Jana, zerkając znacząco na Jakuba. – Niedobrze, żebyś chodziła tu dzisiaj sama.

– Dziękuję, Jano – Jakub zwrócił się do jasnowłosego pana Laskowskiego, wyciągnął zza pazuchy kilka złożonych kartek. – Czy możemy?...

– Oczywiście, szanowny panie Meier: przejdźmy się, porozmawiajmy. Dobrego dnia, panno Jano – i tobie, panienko.

Mirele zamrugała, zaczerwieniła się, dygnęła szybko, nie wiedząc, jak odpowiedzieć. Jana ujęła ją za ramiona, delikatnie pokierowała jej krokami przez plac, z powrotem ku Targowej: w stronę domu.

– Kto to był, Jano? – zapytała, kiedy zanurzyły się ponownie w cienie pomiędzy domkami z cegły, a gwar targowiska zastąpiły pokrzykiwania dzieciaków, szczekanie kundli podwórzowych, i narzekania gospodyń podających obiady w kuchniach, których szeroko otwarte okna wpuszczały do domów niespotykane jesienne ciepło. – Ten pan Paweł?

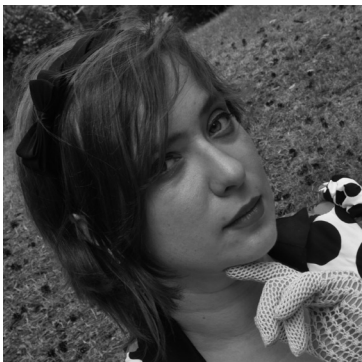
Dziewczyna uśmiechnęła się lekko, na wpół do siebie, sięgnęła po zapomniany kawałek wstążki zwisający smętnie z kolczastej gałązki akacji.

– Dobry człowiek – powiedziała wreszcie, spoglądając na Mirele oczyma błękitnymi jak niebo. – Dobry, mądry człowiek.

Koniec

Karolina Kuran

Urodzona w dniu imienin Karoliny (w roku 1982) – być może na przekór tej zbieżności używa imienia Lena. Z wykształcenia japonistka, z zawodu człowiek tłumaczący na rozliczne języki; dla przyjemności podróżuje, fotografuje, piecze, czyta, i pisze. Pierwsze opowiadanie napisała oraz zilustrowała w wieku lat sześciu; w latach o wiele późniejszych publikowała między innymi w „Bluszczu”.



Łucja Bezoń

Urodzona w 2007 roku. Uczennica 1 klasy liceum. Dużo rysuje, dużo czyta. Mało mówi.





BIBLIOTEKA
IM. PAWŁA HULKI-LASKOWSKIEGO
W ŻYRARDOWIE